

Joanna Mokosa-Rykalska

MATKA SIEDZI Z TYŁU

Opowieści
z ~~dy~~y wzięte

 WIELKA LITERA

fragment książki

Ogród ziemskich rozkoszy

Ludzie wychodzą z domu z różnych powodów – muszą kupić bułki, zawieźć dziecko do szkoły albo iść do pracy. Są też tacy, którzy idą na spacer tak po prostu i wracają z niego z czymś więcej niż z kasztanem i liściem.

– Czujecie, jak tu pięknie pachnie? – powiedziałam do dzieci, przytulając się do drzew w lesie.

Nigdy nie lubiłam spędzać weekendów w mieście. Zawsze jeździmy w miejsca, w których można odpocząć i poszwendać się tu i ówdzie.

Pewnego dnia wybraliśmy się kilkadziesiąt kilometrów za Warszawę. Wokół rozpościerały się piękne drzewa, pod nogami trzeszczały szyszki, a w powietrzu zapach upału mieszał się z wonią lasu. Spacerowaliśmy sobie, gdy w pewnym momencie zobaczyliśmy tabliczkę z napisem „Sprzedam działkę”.

– Asia? – zapytał Wojtek.

– Po tylu latach mógłbyś już zapamiętać, jak mam na imię. – Spojrzałam na niego przekornie.

– Widzisz? Ktoś chce sprzedać działkę. Kupujemy? – zapytał w taki sposób, jakbyśmy byli w piekarni i wybierali chleb.

– No co ty. Ja i działka? Owszem, lubię naturę, ale nie mam zielonego pojęcia o tych wszystkich chwastach – powiedziałam zgodnie z prawdą. Ledwo mi rzeżucha wychodzi na Wielkanoc.

Rzuciłam jednak okiem niepostrzeżenie, aby ocenić, ile lat mogłoby mi zająć doprowadzenie tego do porządku. Na działce stał nawet jakiś domek. Było widać, że ktoś dawno odpuścił sobie przyjazdy.

– Dobra, zadzwońmy pod ten numer – stwierdziłam nagle impulsywnie. Nauczyłam się tego od dzieci, których ulubionymi słowami były „szybko” i „teraz”. Oczywiście tylko wtedy, kiedy czegoś chciały.

Wojtek zareagował błyskawicznie. Działka była wolna i po paru dniach stała się nasza. Raz kozie śmierć. Dwójkę dzieci wychowujemy, więc co to dla nas wyhodować kawałek trawy pod drzewami.

Tuż po odebraniu kluczy pojechaliśmy do naszego działkowego królestwa, ciesząc się jak dzieciaki z cukierka.

– Witajcie w naszym małym rajku – powiedział mężu, otwierając bramę.

Spojrzałam wokół. Z rajem na razie to niewiele miało wspólnego, a zresztą w piekle jest lepsze towarzystwo. Będę grzebać w ziemi do emerytury. Dzieciaki biegały wokół jak opętane, a my zajrzeliśmy do domku.

– Trochę tu będzie trzeba zrobić, ale damy radę. Na wszelki wypadek nie wchodzić dalej – stwierdził Wojtek i wyszedł na dwór.

Zna mnie tyle lat i wie, że nie mówi się do mnie, czego mam nie robić. Daje to całkowicie odwrotny efekt. Kto nie lubi sprawdzić empirycznie, czy gorąca woda rzeczywiście jest gorąca?

Weszłam dalej bezszelestnie, w obawie, że usłyszą mnie korniki. Wcale nie było tak źle, jak mówił mężu. Trochę się odmaluje, zerwie pełną urokową różową, plastikową boazerię

po dawnej właścicielce i pierwszy sezon jakoś przetrzymamy – pomyślałam sobie, gdy właśnie w tej chwili pod moimi nogami rozstąpiła się podłoga.

– Pomooooocy, coś mnie wciąga pod ziemię, ratunku! – zaczęłam krzyżeć jak w horrorze klasy B, gdy nagle wpadłam do piwnicy. Wystraszyłam się jak królik. Całą moją postać okrył kurz i kawałki podłogi. Wojtek chyba zbyt eufemistycznie określił prace w tym przybytku, zamiast nazwać rzeczy po imieniu. Tu przecież trzeba zbudować nowy dom.

Stałam na dole z dziurą w suficie nad głową i czekałam, aż ktoś po mnie przyjdzie. Wyobraźnia mi podpowiadała, że zaraz zostanę zjedzona przez jakieś tajemnicze stworzenia.

– Halo, jest tam ktoś? Pomocy! – zawołałam ponownie.

W końcu usłyszałam czyjeś kroki zmierzające w stronę domku.

– Asia? Gdzie ty jesteś? – To był głos Wojtka.

– Zapadłam się pod ziemię – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Kotku, co ty tam robisz? Nic ci się nie stało? – dociekał mąż.

– Tak sobie siedzę i sprawdzam, czy podmurówka jest dobrze wykonana. I okazuje się, że chujowo – odrzekłam wkurzona.

– Mamo, żyjesz? – Dzieci zajrzały przez dziurę.

– Przecież mówiłem, że masz dalej nie wchodzić – zirytował się mąż.

– A ile razy ja ci mówiłam, że już więcej nie gotuję obiadu. I co? I nadal to robię – odparłam niewzruszona.

Twarde lądowanie i boląca noga uświadomiły mi, że bez wysiłku się nie obędzie.

Na początku wzięliśmy się za porządki i wycięcie paru drzew. Zgłosiłam wszystko, gdzie trzeba, i czekałam na urzędnika.

– Dzień dobry, my do wycięcia brzozy – powiedział miły pan w filuternym kapeluszu.

– Bardzo proszę. – Wskazałam drzewo.

– Ale proszę pani, to jest sosna – odparł, powstrzymując się od śmiechu.

Myślę, że moja pani z biologii spaliłaby się ze wstydu, bo ja byłam tego bardzo bliska.

Pierwsza porażka nie sprawiła, że się poddałam. Działaliśmy z mężem dwutorowo: on nadzorował remont domu, a ja zajęłam się wyglądem działki. Naiwnie myślałam, że wystarczy posprzątać trochę szyszek, zasiać trawę, po czym rozłożyć hamak i będę leżeć i pachnieć. Okazało się, że dywan rodem z francuskich kortów nie wyrasta ot tak. Trawę trzeba było podlewać i ciągle uzupełniać, bo inaczej robiły się łyse placki. A ja owszem, leżałam, ale dlatego, że po całym dniu padałam ze zmęczenia na swój lichesy biust.

Dłużej już jednak nie mogłam mijać się z prawdą, że pilnuję, jak rośnie trawa. Postanowiłam zostać królową ogrodu. Zadzwoiłam do mamy, która na temat roślin wie wszystko. U niej kwiaty nawet same kierują główki do słońca, tak je wyszkoliła. Sprzedała mi parę cennych rad, które od razu chciałam wprowadzić w życie, a w zasadzie nakłonić rośliny, żeby posłuchały mojej rodzicielki.

Siałam i sadziłam z nadzieją na zakwalifikowanie się do konkursu „najlepsza trawa w mazowieckim”. Prawdę mówiąc, większe szanse miał mąż, biorąc pod uwagę, jaki był wesoły wieczorem.

Zasiałam też rzodkiewkę. Skoro mam kawałek własnej ziemi, to i będę mieć zdrowe warzywa. Naszym sąsiadem był starszy pan, który miał u siebie wszystko jak spod igły. Mógłby przekopywać grządki u królowej angielskiej. Tak bardzo chciałam się pochwalić czymś swoim.

– Sąsiedzie, zapraszam, proszę zobaczyć, jakie mam piękne rzodkiewki – zawołałam zadowolona przez płot. – Tylko coś musiałam zrobić źle, bo rosną pojedynczo – powiedziałam, wyraźnie zasmucona. Tak się starałam.

Facet docenił mój trud, ale dodał:

– Pani Joanno, rzodkiewki od zawsze rosną pojedynczo.

Jakież było moje zdumienie, gdy po ponad czterdziestu latach życia człowiek się dowiedział, że rzodkiewki nie rosną w pęczkach. Tyle czasu na ziemi, a ciągle coś mnie zaskakuje.

Gdy dom został z grubsza ogarnięty i nikt już nie wchodził do piwnicy, wpadając przez podłogę, mężu przerzucił swoje siły na działkę. Biegał z kosiarką niczym zawodowy kosiarz.

– Wojtek! – wydarłam się pewnego razu, dla pewności, że usłyszy przy tej dzikiej maszynie.

– Co?

– Skosiłeś mi moje kwiatki, które jako jedyne na tym ścierniku zaczęły wychodzić! – Tupnęłam nogą jak małe dziecko. W końcu widziałam jakieś światełko w tunelu, jeśli chodzi o moje ogrodnicze zdolności. Ile ja filmów na YouTube obejrzałam, żeby te kwiaty korzenie puściły.

– Mówisz o tych chwastach? – zapytał kpiąco mężu.

– Oj, stary, grabisz sobie, to nie były żadne chwasty – zachnęłam się.

– Ja nie grabię, tylko koszę – odrzekł przytomnie.

I w ten sposób, jak barwny ptak, leciało nasze weekendowe życie na działce.

Zaprzyjaźniłam się z ptakami, które spały pod dachem. Wyprowadzałam z domu pająki oraz innych nieproszonych gości. I znajdowałam chwilę, aby przytulić drzewa. Dzieci po całym dniu wracały czarne od stóp do głów i okazywało się, że telefony nie są im już tak bardzo potrzebne.

– Jak wam się udało wyhodować w lesie taką ładną trawę? – zapytał ostatnio sąsiad.

– Bo my jesteśmy specjalistami od zielska – powiedział z dumą mężu, puszczając do mnie oko.

Chałupy welcome to

– Dzień dobry, pani Joanno. Chcielibyśmy, aby napisała nam pani recenzję paru nadmorskich miejscowości w Polsce. – Taką propozycję dostałam pewnego dnia, do tego wypowiedzianą przez pana o miłym głosie. Nie mogłam się oprzeć.

– Bardzo mi miło. Oczywiście, z przyjemnością to zrobię – odpowiedziałam.

Ale się ucieszyłam z tej oferty. Cejrowski czasy świetności ma już za sobą. Może Dzikowska jeszcze mogłaby stanąć ze mną w szranki. Przecież nikt nie zna tych rewirów tak dobrze jak ja. Jako gdańszczanka z krwi i kości każde lato spędzałam nad morzem. Postanowiłam zatem udać się na długie badania terenowe i tak oto powstała moja subiektywna recenzja nadmorskich kurortów.

Gdy rano idziesz na plażę w stroju kąpielowym, a wracasz w kurtce puchowej, to jest oczywiste, że jesteś nad naszym Bałtykiem. Tylko tutaj pogoda jest tak kapryśna jak nastolatka. I ta cecha zdecydowanie łączy wszystkie miejscowości. A co je odróżnia? Sprawdźmy.

Jastrzębia Góra – nie bez powodu w nazwie miejscowości występuje słowo „góra”. Jeszcze niedawno nie było tutaj plaży. Żeby się położyć, należało zawiesić ręcznik niemal pionowo na zboczu. Turyści wbijali paznokcie w ziemię, żeby nie spaść.

Było to coś na kształt wspinaczki po ścianie, ale bez osprzętu. Władze jednak poszły po gwiazdkę plażowego Michelina i zrobiły refulację przybrzeża. Niby takie trudne słowo, a oznacza jedynie poszerzenie wstęgi piachu.

Nie stać cię na wyjazd do Ameryki Południowej? Nie szkodzi. Nikt tak nie zagra na fujarce *Guantanamery* jak Peruwiańczycy na deptaku w Jastrzębiej. Poza tym wszędzie dudni w uszach dźwięk znienawidzonego przez rodziców cymbergaja. Charakterystyczny odgłos brzmi w głowie jeszcze co najmniej do października. Pani Stasia i pan Zygmunt, lat siedemdziesiąt, przyjechali tu na odnowę biologiczną. Tak ich zmodernizowali, że kręcą bioderkami lepiej niż niejeden czterdziestolatek.

Władysławowo – potocznie zwane przez społeczeństwo Władkiem. Drugą, w zasadzie już oficjalną nazwą jest Januszowo. Biała skarpeta stanowi tutaj stały element ubioru. Pod względem liczby urlopowiczów Władysławowo przebija populację Pekinu. Żeby znaleźć sobie miejsce na plaży, warto nastawić budzik na drugą w nocy. Szansa i tak jest niewielka, ale trzeba być twardym. Gdy wytrwałym uda się wypatrzeć jakiś skrawek piachu, momentalnie następuje zaanektowanie terenu poprzez stawianie parawanów. Jeden ze Śląska pierdolnął sobie takie ranczo, że sołtys Władka przybiegł po podatek gruntowy.

Władysławowo jest partnerskim i siostrzanym miastem z Mielnem. Obie miejscówki konkurują ze sobą, gdzie więcej i głośniej słychać Zenka Martyniuka. Są również kolebką polskiej mody. Rok temu usłyszałam, jak jeden gość zapytał drugiego:

– Niezłe wdzianko, z Radomia?

Chałupy – główne zakwaterowanie to kempingi nad zatoką, no bo tu przyjeżdża się pływać z całego świata. *Must have* to boskie ciało w piance, deska i czapka. Jeśli nie *masz* czapki, to w ogóle nie ma sensu się tu pokazywać. Nawet gdy pogoda wyjątkowo zaskoczy i raz na dwadzieścia pięć lat trafi się upał, nie można zdejmować nakrycia głowy. Bez niego nie istniejesz, nawet gdy potrafisz świetnie pływać. Jeśli nie przeszkadza ci, że rano obudzi cię pierdzenie z przyczepy sąsiada – *go for it*. A jaki kemping, takie gazy. Na przykład w Chałupach 3 lub 6 będzie to na pewno jakiś celebrycki bąk. Jego wytwórca przyjechał lamborghini, a poznasz go po markowych ciuchach od stóp do głów i zakrywających pół twarzy modnych w tym sezonie okrągłych okularach. Nieważne, że słońce było tu ostatnio widziane w osiemdziesiątym piątym.

Znajdą się również takie egzemplarze, które przyjeżdżając do Chałup, nie wiedzą, nad jakim są morzem, albo pytają, czy blisko stąd na Gubałówkę. Po całodniowych ostentacyjnych przechadzkach w szpilekach po kempingu liczą na wieczornego bolca, przepraszam – bolsa. No cóż, jedyny, kto je ostatnio przeleciał, to strach. Gdy przypadkiem trafisz tutaj ze Zbuczyna, nigdy się nie przyznawaj. Powiedz, że mieszkasz między Warszawą a Białą Podlaską. Zdecydowanie brzmi to lepiej.

Jest też parę bardziej przystępnych kempingów, gdzie w zwykłym dresie nie będziesz wyglądał jak przyglupi kuzyn z Kielc – na przykład Polaris, Małe Morze czy Chałupy Centrum. W tym ostatnim Ikea mogłaby się od nich uczyć, jak na jednym metrze kwadratowym zorganizować sobie M4. Gdy otworzysz drzwi od swojej przyczepy, noga wylądowuje ci w jajeczniczy sąsiada, ale za to ludzie są wspaniali i bez kija w dupie.

Nawet jak po ciemku pomylisz lokum i pukniesz nie swoją żonę, nie szkodzi. Wszyscy są tu bardzo przyjacielscy.

Kuźnica – osada nadmorska między Chałupami a Jastarnią. W tym miejscu mierzeja jest najwęższa, więc ci z dużym ego na warszawskich numerach mogą mieć kłopoty z przejechaniem. Plaży nie trzeba rezerwować od bladego świtu, dlatego ci, co lubią adrenalinę, powinni sobie znaleźć inną miejscówkę. To dobra baza noclegowa dla tych, którzy jeszcze nie dorobili się własnej przyczepy albo chcieliby do Juraty, ale stać ich tylko na chodzenie po tamtejszym lesie.

Jastarnia – miejscowość, którą upodobały sobie rodziny z dziećmi. Miks ludzki Pepco z Armanim. Bar Ara oblegany przez emerytów, a w restauracji Weranda warszawiacy robią rezerwację jeszcze w kwietniu poprzedniego roku. Ci, co przyjechali ze sto plus (bo cztery stówki już dawno poszły w Żabce), chodzą sobie na spacer pod Dom Zdrojowy popatrzyć, jak naprawdę się żyje. Gdy limit cierpliwości do własnych dzieci zostanie przekroczony, to zawsze można je wyprowadzić do kina Żeglarz. Ponoć w ofercie od niedawna ma trzydniowe seanse dla dzieci, łącznie z nocowaniem. Miejsca na tę atrakcję wyprzedają się już na początku sezonu. Doszło nawet do bójek między rodzicami i sprzedaży organów, aby się tam dostać.

Jurata – średnia wieku to sto plus. Na wjeździe do kurortu są do wyboru kule, balkonik albo sztuczna noga. W przepięknych sosnowych lasach bardzo dobrze się śmiga z takim sprzętem. Na wszelki wypadek przy wjeździe postawili także

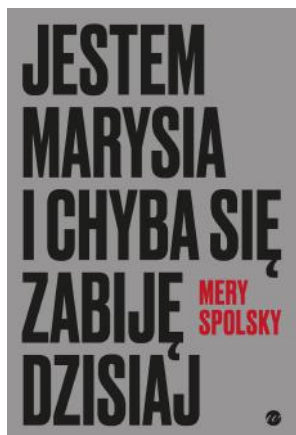
respiratory. Na deptaku jest duża szansa, że spotkasz kogoś z telewizora. Nie zawsze da się go rozpoznać. W końcu istnieje prawda czasu i prawda ekranu. Jurata jest placem budowy, gdzie wyrastają nowe apartamentowce. Pozazdrościli stolicy drapaczy chmur. Po przesiadywaniu na plaży w słynnych wiklinowych koszach można wybrać się do restauracji. W menu, między innymi, pizza margherita w promocyjnej cenie – za jedyne sto pięćdziesiąt złotych, natomiast placki ziemniaczane kosztują, bagatela, cztery dyszki za porcję. Pasztet Drosed ukryty w torebce mile widziany, jeśli po wakacjach nie chcesz brać kredytu o równowartości dobrego samochodu.

Hel – trwa odwieczna wojna, czy to koniec, czy początek Polski. Główną atrakcją jest fokarium. Zwierzęta ostatnio ogłosiły strajk i przestały wychodzić do ludzi. Miasteczko może się pochwalić deptakiem, na którym mieszkańcy z południa Polski, zwłaszcza mężczyźni, prezentują swoje opuchlizny piwne, nie nosząc koszulek. To jedyna miejscowość w Polsce, która zagranicznych turystów zachęca do przyjazdu słowami: *Welcome to hell*. Nie wszyscy chcą zaryzykować.

Nasze nadmorskie miejscowości są różnorodne jak przekrój społeczeństwa. Jeden lubi ogórki, drugi ogrodnika córki. A ty dokąd się wybierzesz?

Więcej o książce przeczytasz [tutaj](#).

Zobacz również:



Sprawdź nasze **NOWOŚCI**
Zapraszamy na [wielkalitera.pl](#)